Kraków, 26-go stycznia 1918 r.

Rok 9. Nr. 2.

Dzwonek.

Gazetka dla dzieci.

Dodatek do „Prawdy“ Nr. 4.

Nauczyciele sieroty.

Napisał Józef Ignacy Kraszewski.

I.

Szedł sobie raz chłopczyk ubogi drogą, nie wiedząc, dokąd idzie; bo i dzieci i ludzie często tak chodzą. Był nieborak sierotą, nie miał nikogo, coby mu gościniec pokazał najkrótszy i najpewniejszy do miasteczka; a trzeba mu było tam iść, bo roboty szukał i schronienia. Ostatnia, najdroższa i jedyna matka mu była zmarła przed tygodniem. Pochowali ją na cmentarzu we wsi, do której się, żebrząc jałmużny, przywlekła. Kilka ubogich jak ona kobiet poszły za biedną trumienką: pogrzeb był z łaski, więc bardzo skromny i cichy.

Chłopczyk szedł za matki zwłokami, aż do czarnej jamy wykopanej w ziemi; widział, jak spuścili trumnę, jak ją co najprędzej zasypano; a gdy poszeptawszy kupka ludzi się rozeszła, usiadł na mogile i do nocy tam przepłakał. O mroku strach mu się zrobiło ciemności i pustki; pobiegł płacząc do wioski, ale tu wszystkie drzwi zastał zamknięte. Przytulił się do ściany i znużony usnął.

Nazajutrz był głodny; myślał, że gdy zapuka do pierwszej z brzegu chaty, dadzą mu może kawałek chleba. Zapukał więc, wyszła zrzędliwa kobieta; spytała gniewnie, nie umiał nic odpowiedzieć; rozpłakał się i odpędziła go. Siedział więc i płakał. Nadszedł pastuch, który trzodę ze wsi wypędzał w pole, staruszek o kiju, i począł go pytać;

dziecię ledwie o sobie odpowiedzieć umiało. Domyślił się wszakże biedny głodu, dobył z torby chleba i dał go spory kawał chłopięciu.

— Słuchaj — rzekł do niego — wziąłby cię ja do poganiania ze mną trzody, bo mi często staremu trudno sobie z trykającemi cielęty dać radę, ale się zwalasz pastuchem. Lepiej ci przecierpieć trochę, a innej pracy szukać... Oto w tej stronie leży miasteczko. O tym chleba kawałku dojdziesz do niego, tam robotę znajdziesz, abyś darmo nie żebrał... a Bóg uczyni resztę... Nad sierotą Bóg z kaletą...

Trzoda ryczała, kręcąc się po ulicy; pastuch podniósł kij, krzyknął i pociągnął dalej. Chłopak przywykł był słuchać i posłuchał starego, począł jeść twardy chleb czarny i powlókł się gościńcem. Gościniec przechodził obok cmentarza — zaszedł więc jeszcze na grób matki i popłakał, pocałował ziemię i powlókł się dalej. Pastuch mu jeszcze raz, zdaleka, z łąki, kijem pokazał gościniec...

Otóż jak się to stało, że chłopczyk sierota, sam jeden szedł drogą... i płakał trochę...

Ale gościniec z początku szeroki, począł się kręcić i zmniejszać, potem zeszły się z nim inne drogi z prawej i z lewej strony, potem było ich kilka i już nie wiedzieć było jak trafić, aby się nie zbłąkać, idąc do miasteczka... a mieściny widać nie było. Słońce dosyć dopiekało i mogło być około południa. Drogą, to się przemknął jeździec, to się przesunęła bryczka, to się przewlókł wóz chłopski, a nikt na sierotę nie zważał, niebożątko też i pytać nie śmiało... Nogi w piasku ustawać zaczęły... strach ogarnął...

Siadłszy pod sosną na kamieniu, spuścił głowę i znowu na łzy się zbierało... Wtem świergotanie ptaszyny go zbudziło: dokoła niego latał jakiś szary wróbel, czy pliszka i kręcił się i uwijał, jakoś tak wesoło, tak żwawo, że mimowolnie sierota podniósł głowę i począł mu się przyglądać. Ptaszek — to się spuszczał ku ziemi, chwytał jakąś słomeczkę, pruszynę, puszek i z tą zdobyczą w dzióbku śpieszył na gałąź sosnową, a w liściach jej znikał — znów puszczał się dalej i siadał nad maleńką wody kałużą i popijał, to w piasku się grzebał, obsypywał nim, skrzydełkami trzepał, to w powietrze się wzbiwszy śpiewał we-

solutko... Gdy mu z oczu znikł ptaszek szary, chłopcu aż się smutno zrobiło... bardzo był ciekaw życia ptasiego... Aż przybliżywszy się zobaczył gniazdko i swojego znajomego, który sam sobie robił porządek, gałązki układał, nóżkami i dziobem wyścielał i osłaniał... Robota była ciekawa i pośpieszna i bardzo piękna... gniazdko rosło w oczach, zaokrąglało się, ubierało... A gdy chłopak zbliżył się ostrożnie, spostrzegł z zadziwieniem, że ptaszek, co się tak zwijał koło swojej roboty, wcale się go nie obawiał...

Ludzie, wyjąwszy pastucha, jakoś mu niewiele pomogli; biedne chłopię pomyślało sobie, że nie szkodziłoby się takiego mądrego ptaszka poradzić. Zdjął więc czapczynę, ukłonił się grzecznie bardzo i rzekł cicho:

— Szanowny wróblu dobrodzieju, jeżeli uchybiam w tytule, proszę mi przebaczyć, gdyż mały jestem, niewiele widziałem świata i omylić się mogę. Zatem przepraszam, bo może się inaczej zowiesz i wyższy jaki urząd piastujesz...

— Nie, nie, jestem prosty wróbel — rzekł ptak siadając na brzegu gniazdka — a czego chcesz, człowieczyno?

— Rady...

Wróbel pokiwał główką.

— A jakiej?

— Co mam robić z sobą, matka mnie umarła, jestem sam jeden, ludzie na mnie nie zważają, nie mam się kogo spytać, co począć?

— A przypatrzyłeś się ty, co ja robię? — rzekł wróbel.

— Trochę, zdaleka.

— Ja także — mówił ptaszek świergocząc — byłem sierotą; matkę mi jastrząb zabił, kiedym jeszcze był ledwo podlotkiem; chowałem się długo w gęstwinie, żyjąc muszkami i robaczkami, aż trochę w pierze porosłem... Radził mi jeden wróbel, abym szedł sobie gdzie pod strzechę do miasta, kędy więcej ludzi, jadła porozsypywanego i wróblów braciszków, ale szczęściem, żem sobie matki radę przypomniał i zostałem na wsi...

— A ja idę do miasteczka — rzekł chłopak.

— Otóż bym ci nie radził — szeptał szary ptaszek.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

WRÓBEL.

Gdy ptaki wędrowne w dniach wczesnej jesieni
W południa kwieciste mkną kraje,
Gdy ziemia utraci sukienkę zieleni,
Przez długie dni zimy i chmurnej jesieni
On jeden nam wierny zostaje.

On jeden zostaje, wróbelek nasz szary,
Gdy śpiewne ulecą ptaszyny,
Swej ziemi rodzinnej dochowa on wiary,
Nie nęcą go obce uroki i czary,
Nie wabią słoneczne krainy.



Przez zimę, przez długą, on tęskni za wiosną,
Gdy zimno i głód go przenika
I wierzy, że wkrótce znów kwiaty wyrosną,
Że ziemia oblecze sukienkę radosną,
Że śpiewna rozdźwięczy muzyka.

O, przyjdzie znów wiosna, o błysną znów kwiaty,
Powróci rój ptasząt wędrownych,
Lecz wyżej nad śpiewny ten orszak skrzydlaty
Wy ceńcie wróbelka, choć skromne ma szaty,
Choć piosnek nie nuci czarownych.

Bo stokroć wart więcej, kto wierny swej ziemi
Zarówno w pogodę jak w burzę,
Niż ten, co ucieka przed wichry groźnemi,
A wraca gdy słońce w rodzinnej lśni ziemi,
Gdy kwitną znów fijołki i róże.

MRÓZ.

Niewiadomo, z jakiej przyczyny mróz, okrutnie rozgniewany, spadł na ziemię. Wszystko mu zawadzało: drewniane parkany tak ścisnął, że deski pękać zaczęły: na okno wlazł, porysował je w rozmaite desenie, szukał szparki, przez którą mógłby się dostać do mieszkania. Wkrótce znalazł ją w okienku; wpadł do pokoju i strasznie dokuczać zaczął ludziom. Potem szukał ptaków w ogrodach, na drzewach, na parkanach, wreszcie znalazł jednego wróbla.

Biedak schował się pod strzechę i drżał z zimna. Mróz porwał go i ścisnął tak mocno, że ptaszek odrazu dech wyzionął.

Teraz już wszyscy o niczem innem nie mówili, jak tylko o wielkim mrozie; uciekali, kryli się przed nim, gdzie kto mógł...

A mróz cieszył się, że taki postrach budził wszędzie, że taki silny.

Przebiegając ulice, spostrzegł nagle chłopca bez czapki i rękawiczek, biegającego po podwórku. Zdziwienie mrozu nie miało granic.

— Cóż ty sobie, zuchwalcze, myślisz? Może chcesz walczyć ze mną?

I zaczął go szczypać w nogi, w ręce, w policzki...

Lecz chłopiec nie zważa na to, jakby nie czuł... Biega, podskakuje, śnieg rękami chwyta i rzuca nim do celu.

Rozgniewał się mróz na dobre i z całej siły w nos chłopca uszczypnął.

Tym razem malec nie mógł już wytrzymać, chwycił się ręką za nos i uciekł do domu.

Mróz tymczasem wyszedł na miasto.

Po drodze spotkał mleczarkę z małym synkiem i tym nie przebaczył.

Biedna kobieta otula się chustką, bo zimno przejmuje ją strasznie.

Z chłopcem jeszcze gorzej: nóżki mu tak skostniały, że iść nie może wcale, drży biedak i płacze z bólu.

A mróz złośliwy coraz silniej, śmielej garnie się do nich i cieszy się i raduje, ża ludziom dokuczyć może.

* * *

— Niechno przyjdzie noc — myśli sobie mróz — to nabiorę większej siły i z chłopcami do walki stanę.

I rzeczywiście w nocy nic mu nie stało na przeszkodzie. Broił też w okrutny sposób, nad nikim nie mając litości.

Jakiegoś podróżnego podobno na śmierć zamroził, a ile zwierząt, ptaków, trudno porachować. Tak się rozhulał, niecnota, że już zamyślał o zamrożeniu całego świata.

Pędzi znowu przez pola i lasy, szukając nowej ofiary.

— Księżyc i gwiazdy, wszystko bać się mnie powinno. Ja nawet słońce zgnębię...

Wtem z poza lasu weszło słońce. Ciepłe, pogodne, promienne wesoło obejrzało się dokoła, a gdzie tylko spojrzało, tam padały na ziemię jego złociste promienie.

Na ten widok ptaki z pod strzechy wzleciały, świergocąc wesoło, koniki poruszają uszami z radości. — Mróz wytężał wszystkie siły, żeby zwyciężyć słonko. — Ale słońce tak gorące promienie rzuciło na ziemię, że mrózku uciesze wszystkich, uciekł za lasy i góry.

Po naszemu.

Gdy kto w biedzie — to zaradzić,
Gdy dać słowo — to nie zdradzić.
Stroić żarty — to niewinnie,
Przyjąć kogo — to gościnnie.
Kiedy gardzić — to podłością,
Kiedy mówić — to z szczerością.
Gdy kto oszust — to go łaj,
Gdy poczciwy — rękę daj.
Gdy się bratać — to z dobrymi,
Gdy mieć litość — nad biednymi.
Gdy się modlić — to już szczerze,
Kiedy wytrwać — to w swej wierze.

Kiedy wspierać — to rodaka,
Kiedy tańczyć — krakowiaka.
Sąsiadować — to spokojnie,
Gdy obdarzać — to już hojnie.

Szczurek-Ostroząbek.

Był raz sobie młody szczurek, który nie lubił myśleć o czemkolwiek. Gdy stare szczury pytały go, czy woli iść z niemi, czy się zostać, odpowiadał zwykle: „nie wiem“. Nie chciało mu się bowiem wybierać i zastanawiać nad tem, co woli. Pewien stary szczur raz mu powiedział:

— Jeśli zawsze będziesz tak postępował, nikt o ciebie dbać nie będzie. Masz mniej rozumu, niż źdźbło trawy. Dobrze jest być posłusznym i zgodnym, ale źle nie mieć własnego zdania.

Młody szczur słuchał, lecz nie odpowiedział ani słowa.

— Czy nie zgadzasz się na to? — mówił stary i aż tupnął nogą, nie mogąc znieść tej obojętności młodego.

— Nie wiem — odpowiedział młody szczurek, i oddalił się wolnym krokiem, aby myśleć godzinę, czy ma zostać w dziurze, czy wyjść do śpichrza.

Pewnego dnia wielki hałas powstał w śpichlerzu. Budynek był bardzo stary, a skutkiem deszczu niektóre belki przegniły, tak, że niebezpiecznie było w nim przebywać. Tego dnia jedna belka u pułapu oderwała się i upadła na podłogę. Sciany się zatrzęsły; wszystkim szczurom włosy powstały na skórze ze strachu.

— Tu zostać nie możemy — powiedziały szczury — musimy opuścić to miejsce.

Wysłały więc posłów na szukanie nowego mieszkania; znaleziono je w poblizkiej stodole, gdzie było dość miejsca i pożywienia dla wszystkich.

— Najlepiej idźmy zaraz — powiedział stary szczur, który rządził wszystkiemi. — Stańcie szeregiem.

— Czy wszyscy są? — spytał szczur, patrząc wokoło.

W tej chwili wódz spojrzał na młodego Ostroząbka (tak było na imię obojętnemu szczurkowi). Nie był on w szeregu, stał bliziutko i nie odezwał się.

— Ostroząbku, chcesz iść z nami?

— Nie wiem — powiedział szczurek.

— Nie myślisz o ocaleniu?

— Nie wiem. Dach przecież jeszcze się nie zawalił.

— Ha, to zostań, sam będziesz winien, jeśli zginiesz. Nie możemy czekać, aż się namyślisz. Szczury! marsz!

I długi szereg wyszedł ze śpichlerza. Ostrząbek patrzył, jak jeden szczur za drugim znikał mu z oczu.

— Możeby iść także? — rzekł do siebie — sam nie wiem. Tak tu ładnie i przyjemnie.

Gdy tych słów domawiał, ostatni szczur wychodził ze śpichrza. Ostroząbek doszedł prawie do progu, ale obejrzał się i powiedział:

— Zostanę jeszcze chwilę.

W nocy zrobił się straszny huk. Pospadały belki i dachówki, wreszcie runął cały dach.

Nazajutrz rano ludzie przyszli zobaczyć, co się stało ze śpichlerzem. Nie myśleli o szczurach, lecz gdy jeden z nich poruszył dużą deskę, zobaczył pod nią zabitego Ostroząbka.

ZAGADKA.

Jak mnie niema, to mnie żądają,
A jak jestem, to przedemną uciekają. (Deszcz)

